

**Rozmowy z Księdzem Profesorem Henrykiem Misztalem inspiracją
rozważań nie tylko o prawie**

Conversations with Rev. Professor Henryk Misztal as an inspiration for reflections
not only on the law

Беседы со священником профессором Хенриком Мишталем –
вдохновение для размышлений не только о праве

Розмови з о. проф. Генриком Мішталем натхненням для роздумів
не лише про право

WOJCIECH ŁĄCZKOWSKI

Prof. dr hab., emerytowany profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Księdza Profesora Henryka Misztala poznałem pierwszego dnia mojej „przygody” z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Było to na początku lat 80. ubiegłego wieku, po reaktywowaniu tam studiów prawniczych. Stało się to możliwe w kontekście aktywności pierwszej – tej autentycznej – „Solidarności”.

Odtworzenie Wydziału Prawa po kilkudziesięciu latach nieistnienia było przedsięwzięciem niezwykle trudnym. Głównym animatorem reaktywacji był ks. prof. Józef Krukowski, który jako dziekan tworzonego Wydziału starał się kompletować pracowników dydaktyczno-naukowych. W szczególności chodziło o kadrę profesorską. Nie było to łatwe. Dawni profesorowie wymarli lub „rozproszyli się po świecie”, a inni nie zawsze chcieli ryzykować zatrudnienie w uczelni katolickiej. Ja stosunkowo szybko uległem namowom i rozpocząłem regularne podróże do Lublina z odległego Poznania. Na moim pierwszym wykładzie z prawa administracyjnego zostałem bardzo miło przedstawiony studentom przez ówczesnego prodziekana, ks. prof. Henryka Misztala. Od tego momentu rozpoczęła się nasza znajomość, przeradzająca się stopniowo w przyjaźń.

W czasie spotkań dotyczących spraw organizacyjno-dydaktycznych poruszyliśmy wiele innych tematów. Czuję, że mam kontakt z ciekawą osobowością, z człowiekiem mającym liczne i bardzo różnorodne zainteresowania. Zrozumiałem, że rozmawiam z kapłanem prawdziwie Chrystusowego Kościoła, duchownym, który wartości ewangeliczne stawia ponad dbałość o dobre imię i instytucjonalne „ziemskie” interesy. Jego skromność, pokora i łagodność były ujmujące.

Nasze rozmowy dotyczyły m.in. spraw duchowych, eschatologicznych. Nie byliśmy profesjonalnymi filozofami czy teologami, ale nasze dyskusje zmierzały w tym

kierunku. Oczywiście rozmawialiśmy także o prawie, o różnych problemach ustrojowo-politycznych, o naszym Kościele i ludziach z nim związanych, ale także o wielu innych, często prozaicznych sprawach składających się na blaski i cienie codziennego życia. Różnorodność ta powoduje, że trudno jest uporządkować wspomnienia z naszych spotkań według jakiegoś logicznego schematu. Będą więc one „skażone” chaosem i przeskakiwaniem myśli, tak jak to często bywało w naszych kontaktach.

Henryk (będę Go tak nazywał, skoro stał się moim przyjacielem) poruszał często – ku mojemu zaskoczeniu – problem powołania kapłańskiego i w związku z tym sensu egzystencji. Był niezwykle szczery, nigdy nie okazywał pruderyjnej egzaltacji. Odnoszę wrażenie, że drażniły go postawy „dewocji na pokaz”. Jako kapłan musiał jednak zachować w tych sprawach właściwy umiar i przestrzegać tradycji. Wspominając nasze rozmowy, byłoby nieprzyzwoitością ujawniać jego – często bardzo intymne – wypowiedzi na temat różnych osobistych spraw. Nie żyje, a więc nie ma już możliwości prostowania lub choćby autoryzacji tego, co ja bym mu przypisał. Mogę natomiast prezentować własne odczucia wywołane spotkaniami z Henrykiem.

Będąc profesorami akademickimi katolickiej uczelni, pragnęliśmy przekonać siebie, nasze najbliższe otoczenie, a zwłaszcza studentów, że wiara nie kłóci się z naukową wiedzą. Oczywiście uznawaliśmy podstawowe założenie, że Kościół katolicki ma fundamentalną rolę do odegrania w dążeniu do prawidłowego odczytywania i wypełniania woli Stwórcy, starając się doprowadzić do Niego każdego człowieka. Co do tego nie było między nami wątpliwości. Dyskusja dotyczyła jedynie metod służących temu celowi. W tym kontekście odwoływałem się do słów św. Arcybiskupa Jerzego Stroby – Metropolity Poznańskiego (byłem członkiem Jego Rady Społecznej). Twierdził on, że Kościołowi katolickiemu nie tyle szkodzą Jego otwarci wrogowie, np. ateistyczni komuniści, co „agresywni dewoci”. Ci pierwsi w dłuższej perspektywie często tracą swoje argumenty, a nawet zmieniają poglądy (w szczególności pod koniec życia). Natomiast ci drudzy, odwołując się do prawdziwych wartości, robią to w sposób kojarzący się z zachowaniami faryzejskimi, obłudnymi, a więc odrażającymi. Być może nieświadomie osłabiają autorytet Kościoła lub co najmniej go ośmieszają. Dotyczy to różnych, często mniej jednoznacznych sytuacji. Na przykład przesadne koncentrowanie się na problemach „gender”, „LGBT”, czy innych zachowaniach seksualnych człowieka, może wywoływać wrażenie jakiejś obsesji stawiającej te sprawy w centrum moralności chrześcijańskiej. Istotę nauczania Chrystusa i najważniejsze wartości ewangeliczne przesłania wypatrywanie wszędzie zła i poszukiwanie wrogów, z którymi należy walczyć, myśląc niekiedy krzyż z mieczem. Henryk nigdy tego tak nie określał, przynajmniej w mojej obecności, ale swoim postępowaniem zaprzeczał podobnym postawom. Starał się dostrzegać wszędzie dobro i chętnie o nim mówił. Nie słyszałem, aby o kimkolwiek

źle się wyrażał. Odnosił się z szacunkiem nawet wobec ludzi mu niezyczliwych, których niestety nie brakowało. Bez werbalnych deklaracji pokazywał jak w praktyce, swoim zachowaniem, można dobrem pokonywać zło. Taka postawa onieśmielała przeciwników, była pociągająca etycznie i mogła powodować prawdziwe „nawrócenia”. Nie wiem, czy Henryk byłby zadowolony z moich uwag. Dotyczą one spraw nabrzmiałych zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy po osiągnięciu wieku emerytalnego nasze kontakty z naturalnych powodów osłabły. Ograniczały się głównie do rozmów telefonicznych i korespondencji drogą elektroniczną. Nie było więc okazji do pogłębionej wymiany myśli na te tematy.

Zdążyłem jednak przekazać Henrykowi moje „Wspomnienia czasu przeszłego”, gdzie jako motto umieściłem słowa Koheleta: *Marność nad marnościami. Wszystko marność i pogoń za wiatrem*. Starannie przechowuję niezwykle ciepłą i życzliwą recenzję tego „dzieła” sporządzoną na piśmie przez Henryka. Zauważając tam mój lęk przed nieuchronnością śmiertelnego rozstania z ukochaną Bożenką (od ponad 60 lat moją żoną, z którą mamy 5 dzieci), pocieszał mnie, opisując rzekomo autentyczne zdarzenie, którego – jak mi się wydaje – był świadkiem. Otóż gdzieś na Lubelszczyźnie (być może w Motyczu) staruszkowi rolnikowi umarła żona. Po udzieleniu przez kapłana sakramentu chorych oraz po stwierdzeniu przez lekarza zgonu, ów rolnik jeszcze raz upewnił się u lekarza, czy jego żona rzeczywiście nie żyje. Po potwierdzeniu tej smutnej prawdy, położył się na ławie stojącej pod ścianą i zmarł. Ksiądz i lekarz byli już na miejscu. Poczciwy Henryk opowiedział mi o tym, żeby mnie pocieszyć i pokazać, że rozstania kochających się osób nie muszą trwać długo. Rzeczywiście zrobiło mi się weselej na duszy oraz napełniło nadzieją, że może nie będzie tak źle.

Przekazane Henrykowi moje „Wspomnienia” wywołały jednak burzliwą dyskusję nad umieszczonymi w nich słowami Koheleta. Postawiłem bowiem pytanie, czy słowa te odzwierciedlają prawdę. Na podstawie tej dyskusji doszedłem do – być może banalnego - wniosku, który można przyrównać do znanych żartobliwych słów jednego z najwybitniejszych Polaków: „Jestem za, a nawet przeciw”. Kohelet miał rację, a nawet jej nie miał. Miał rację, jeżeli na świat spojrzeć jedynie z punktu widzenia poznawalnej rzeczywistości materialnej. Materia bowiem, w tym fizyczność człowieka, ulega destrukcyjnemu procesowi czasu. Pod jego wpływem, prędzej czy później, marnością stanie się m.in. cała egzystencja ziemiska i nie tylko ona. Ludzkości nie uratuje nawet emigracja na inne planety, skoro wypali się nasza gwiazda (Słońce). Oczywiście w perspektywie życia ludzkiego jest to czas niewyobrażalnie odległy, ale w skali kosmicznej może okazać się krótką chwilą. Jednak właśnie ta chwila skłania do refleksji nad sensem istnienia. Gdyby bowiem istniał tylko świat materialny, ulegający destrukcji czasu, to jego istnienie nie miałoby sensu. Sens

pojawia się wówczas, gdy uwierzymy w istnienie rzeczywistości niematerialnej, niezależnej od czasu i przestrzeni, od poznawalnej przez nasz umysł materii. Jest nią rzeczywistość duchowa. Trudno jest udowodnić jej istnienie przy pomocy rozumu ludzkiego. Nasz rozum – wytwór zbudowanego z materii mózgu – przystosowany jest bowiem do badań zjawisk materialnych. Natomiast w rzeczywistość duchową musimy uwierzyć. Wspomaga nas w tym jakaś dziwna, odwieczna intuicja wpisana w naturę ludzką, a nas katolików przede wszystkim umacnia nauczanie Chrystusa. Właśnie ta wiara pozwala twierdzić, że świat, a w nim egzystencja człowieka, ma sens i że taki trudno wyobrażalny ład może pochodzić jedynie od Wszechmogącego Stwórcy. W tym kontekście można twierdzić, że Kohelet nie miał racji, bo rzeczywistość duchowa pod wpływem czasu nie przekształca się w marność.

Takie to były „filozoficzne” owoce dysput z Henrykiem. Może naiwne, ale podtrzymujące nas na duchu i utwierdzające w przekonaniu, że logiczne myślenie „profesorskich umysłów prawniczych” może wspierać wiarę w to, że Stwórca Wszechświata spowodował istnienie rzeczywistości materialnej i duchowej. Skoro więc nie wszystko ulega erozji czasu, należy być optymistą. Nauka bada budowę i mechanizmy, według których funkcjonuje otaczający nas świat, a wiara (religia) odpowiada na pytania o sens istnienia tego świata.

Nasze „górnolotne” rozmowy nabierały szczególnej dramaturgii, kiedy schodziliśmy na ziemię i dotyczyły nas losy bliskich osób, związanych z naszym „kulowskim” środowiskiem. Bardzo boleśnie przeżyłem funkcję przewodniczącego Komisji powołanej przez Konferencję Episkopatu Polski do zbadania materiałów znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej dotyczących związków biskupów polskich ze służbami specjalnymi PRL. Komisja składała się z 5 osób w tym z 3 duchownych profesorów historii oraz 2 świeckich profesorów prawa (sędziów Trybunału Konstytucyjnego). Nie byliśmy sądem. Badaliśmy jedynie to, co znajdowało się wówczas w archiwach IPN, a mówiąc ściślej, co nam udostępniano. Nie mieliśmy uprawnień śledczych pozwalających np. przesłuchiwać świadków czy powoływać biegłych. Poznaliśmy jednak różne wyrafinowane sposoby werbowania współpracowników lub zdobywania informacji wykorzystywanych przez służby specjalne. Ofiarami tych metod stawali się niekiedy ludzie przyzwoici, o wybitnej umysłowości, zasłużeni dla nauki i niezależnego życia akademickiego. Spotkało to także prominentnego członka naszej Uczelni, osoby dobrze nam znanej, cieszącej się powszechnym autorytetem i sympatią. Był to cios, po którym trudno dojść do równowagi. Henryk, z właściwą sobie łagodnością pocieszał, że prawdziwie sprawiedliwy sąd dotyczący tego przypadku wyda ostatecznie Bóg. Tylko bowiem On zna nie tylko fakty wynikające z zachowanych dokumentów, ale także wszystkie okoliczności, motywacje, zamiary, a nawet myśli osób uwikłanych w tę sprawę. My tego niestety nie wiemy.

Wspominałem już, że nasze rozmowy z Henrykiem dotyczyły bardzo różnych tematów. Jako profesorów prawa intrygowało nas wiele problemów z tego zakresu. Dyskusje utrudniało (a może ułatwiało?) to, że specjalizowaliśmy się w różnych dziedzinach. Henryk był wybitnym znawcą prawa kanonicznego, dotyczącego zwłaszcza procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych. Ja natomiast interesuję się prawem publicznym. Po zmianach ustrojowych w latach 90. XX wieku, w związku z pełnieniem różnych funkcji publicznych (sędziego Trybunału Konstytucyjnego, Przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej, członek Rady Polityki Pieniężnej itd.) dużo uwagi musiałem poświęcić filozofii prawa. Znajduje to swoje odbicie m.in. w moich publikacjach, ukazujących się zwłaszcza po 1990 r.

Związki Kościoła katolickiego z procesem stanowienia prawa świeckiego należy rozpatrywać w szerokim kontekście politycznym. Na początku lat 90. ubiegłego wieku cieszyło nas odzyskiwanie przez Kościół należnych mu pozycji społeczno-kulturowych, edukacyjnych oraz ekonomicznych (np. byłem sędzią sprawozdawcą w Trybunale Konstytucyjnym, który swoim orzeczeniem przywrócił nauczanie religii w szkołach publicznych). Zaczęliśmy się jednak zastanawiać, czy przychyłność władz państwowych jest bezinteresowna, czy łączy się z jakimiś oczekiwaniami politycznymi. Chodziło zwłaszcza o poparcie ze strony Kościoła w czasie kampanii wyborczych i później w staraniach o utrzymanie poparcia dla rządzącego ugrupowania politycznego. Już wówczas obawialiśmy się, że część „hierarchii kościelnej” może ulec kokieterii władz i dać się uwikłać w walkę polityczną, stając po jednej stronie sporu. Niestety problem ten istnieje do dzisiaj, a w ostatnich latach uległ nasileniu nienotowanemu nigdy wcześniej. Wiąże się to – być może – z łatwością dostępu do życia publicznego wielu owych „agresywnych dewotów”.

Z powyższą sprawą łączy się stosunek Kościoła hierarchicznego do prac legislacyjnych. To zagadnienie interesowało nas w sposób szczególny. Dotyczyło to zwłaszcza norm prawnych dotyczących norm moralnych.

Normy prawa – jak powszechnie wiadomo – można podzielić m.in. na normy nakazujące, zakazujące i uprawniające, a także objaśniające, zawierające np. legalne definicje pojęć występujących w powyższych trzech rodzajach norm. Sprawy bezpośrednio odnoszące się do moralności, w państwach demokratycznych, najczęściej regulowane są normami uprawniającymi. Przykładem może tu być problem tzw. aborcji, budzącej niekończące się dyskusje i spory. Nie mieliśmy oczywiście wątpliwości co do negatywnej oceny wszelkich form przerywania ludzkiego życia we wszystkich fazach jego trwania. Zgodnie uważaliśmy, że fizyczne życie ludzkie jest procesem biologicznym, którego pierwszą fazą jest połączenie dwóch specyficznych komórek, a ostatnią śmierć człowieka. Ochrona prawna życia ludzkiego powinna więc obejmować także cały okres przed narodzeniem dziecka.

Nasze dyskusje dotyczyły natomiast roli Kościoła katolickiego w odniesieniu do działalności prawodawcy państwowego w tych sprawach. Ja uważałem, a ostatnie wydarzenia mnie w tym utwierdzają, że Kościół w podobnych sprawach powinien starać się wpływać na proces legislacyjny tylko w przypadku, gdyby normy prawa nakazywały zachowania amoralne lub zakazywały zachowań moralnych. Regulacje prawne odnoszące się do problemu tzw. aborcji takich sytuacji nie przewidują. Zawierają jedynie uprawnienie do niegodziwego postępowania, ale go nie nakazują. W określonych przypadkach zakazują jednak zachowań amoralnych. Regulacje te rozszerzają więc problemy prawne na sferę etyki. Taka sytuacja, moim zdaniem, nie wymaga od Kościoła ingerowania w procesy legislacyjne. Stawia natomiast przed nim niezwykle trudne, ale bardzo ważne zadanie oddziaływania formacyjnego na rozum, wolę i sumienie tak, aby człowiek postępował etycznie i nie podejmował niegodziwych decyzji. Tylko wówczas bowiem będzie to postępowanie moralne. Nie można natomiast tak określać zachowań wywołanych jedynie przymusem prawnym. Lęk przed prokuratorem nie jest motywacją etyczną. Skoro więc mamy mówić o kształtowaniu sumień, musimy podjąć się ciężkiej, żmudnej i bardzo delikatnej pracy formacyjnej, nie starając się zastępować jej stosunkowo łatwymi i prostymi zakazami prawnymi, zresztą najczęściej mało skutecznymi.

Przerywanie ludzkiego życia w fazie prenatalnej nie jest jedynym przykładem wymagającym głębokich przemyśleń nad dobrem właściwych i prawdziwie skutecznych metod przeciwdziałających takim destrukcyjnym zachowaniom. Być może się mylę, wypominał mi to Henryk, ale uważam, że nasz Kościół zbyt mocno angażuje się w sprawy wykraczające poza ścisłe nauczanie Chrystusa. Dotyczy to nawet tak wzniosłych, pięknych i drogocennych pojęć jak patriotyzm. Jest to ogromna wartość, jeżeli oczywiście nie przeradza się w nacjonalizm, o czym mówi niedawne stanowisko biskupów polskich. Czy jednak nie byłoby lepiej pozostawić troski o te sprawy strukturom świeckim? Dla katolików najważniejszym wzorem i autorytetem, którego w zachowaniach etycznych powinniśmy starać się naśladować, jest Chrystus. Tymczasem trudno jest mi znaleźć ewangeliczną sytuację świadczącą o tym, że Chrystus odwoływał się do patriotyzmu wobec jakiegoś określonego państwa czy narodu. Są to sprawy ważne, ale wiążące się z zagadnieniami ściśle politycznymi, mogącymi wywoływać skutki bardzo pozytywne, jak i rodzić różne emocje negatywne, prowadzące do głębokich podziałów narodowościowych, konfliktów lub nawet do wojen. Mówiąc o tych kwestiach, należy uwzględnić historyczny kontekst Polski. W okresie ponad stuletniej niewoli Kościół zmuszony był angażować się w odzyskanie niepodległości i godności Polaków. Zapisał wtedy piękne karty w dziejach naszego Narodu, wykraczając poza swoją podstawową misję. Natomiast w dzisiejszej Polsce z przedstawionymi wyżej problemami łączą

się określony konkordatowo, konstytucyjnie i ustawowo tzw. przyjazny rozdział Kościoła i Państwa. Jest to ważny temat, który paradoksalnie nabiera większego znaczenia w okresach pozornie sprzyjających Kościołowi, gdy władze polityczne okazują mu nadzwyczajną życzliwość. Właśnie wtedy, jak już wspominałem, pojawia niebezpieczeństwo osłabienia Jego autorytetu. Pomimo wielu historycznych doświadczeń, sytuacja ta wciąż się powtarza. Nie można się dziwić, że różne siły polityczne zabiegają o poparcie Kościoła, skoro zajmuje On tak wysoką pozycję społeczną nie tylko jako krzewiciel wartości chrześcijańskich, ale także jako obrońca niepodległej państwowości. Przychylność Kościoła przynosi bowiem wymierne korzyści w wyborach politycznych. Z drugiej strony nie łatwo jest ocenić, na ile szczerze jest ostantacyjne, często nachalne – przed kamerami – demonstrowanie swojej religijności. Naiwnością jednak byłoby wykluczanie koniunkturalizmu podobnych demonstracji, zwłaszcza konfrontując je z rzeczywistymi działaniami i życiem osobistym ich autorów. Sprawa nabiera jeszcze większego znaczenia, gdy sojusz z Kościołem deklaruje siła polityczna wyraźnie dążąca do jedynowładztwa preradzającego się stopniowo w rządy autorytarne, niepoddające się kontroli prawa, co wyraża się m.in. w próbach podporządkowania sobie władzy sądowniczej. Coraz brutalniejsze, nawet nieukrywane tendencje zmierzające w tym kierunku oraz marginalizowanie Polski w sprawach polityki międzynarodowej budzą zrozumiały niepokój i rosnącą niechęć do owych sił politycznych. W przypadku gdy słusznie lub tylko pozornie są one kojarzone z Kościołem katolickim, niechęć ta przenosi się także na Niego. Jest to zapewne jeden z powodów słabnięcia autorytetu Kościoła, niezależnie od przyczyn wynikających z innych gorszących zdarzeń, związanych nie tylko z zachowaniami amoralnymi niektórych duchownych, ale także ze sporami doktrynalnymi, a nawet z kwestionowaniem pozycji Papieża. Wszystko to może wywoływać pesymizm i obawy o przyszłość Kościoła. Takie były i są moje poglądy na przedstawione wyżej sprawy. Natomiast Henryk, a pod jego wpływem także ja, nigdy nie zwątpiliśmy w to, że prawdziwie Chrystusowego Kościoła „bramy piekielne nie przemogą”. Im więcej pada zarzutów i im częściej odkrywane są różne niegodziwości ludzi Kościoła, tym mocniej trzeba tę prawdę powtarzać i szczerze w nią wierzyć. Staram się ostatnio nieustannie to robić. Bez tego ludziom, którzy całe życie poświęcili służbie Kościołowi, byłoby trudno pokonać narastający stres.

Rozmowy z Henrykiem były ciekawe także dlatego, że zajmowaliśmy się – jak już wspominałem – całkowicie różnymi dziedzinami prawa. Stąd musieliśmy znaleźć jakiś wspólny mianownik, aby móc sensownie dyskutować o trudnych problemach. Tym wspólnym mianownikiem były nawiązania do filozofii prawa, do prawa naturalnego, do pojęcia sprawiedliwości, do „ius” i „lex”, do dylematów wynikających z obowiązywania dawnego prawa w nowym, demokratycznym ustroju

państwa i w tym kontekście do roli Kościoła katolickiego w procesie stanowienia prawa świeckiego. Rozmowy takie były bardzo inspirujące, czasami przeradzały się w spór. Wydaje mi się jednak, że pod ich wpływem dochodziło do głębszych refleksji, a nawet do zmiany poglądów w niektórych sprawach. Stwierdzam to oczywiście we własnym imieniu. Jestem za to Henrykowi bardzo wdzięczny.

Wdzięczny Henrykowi jestem jednak nie tylko za pobudzenie do rozmyślań nad wspomnianymi „górnolotnymi” problemami dotyczącymi światopoglądu, wiary, filozofii prawa czy zagadnień ustrojowych, ale także zwyczajnych spraw występujących w codziennym życiu człowieka. Na honorowym miejscu w mojej domowej bibliotece umieściłem niewielką książeczkę autorstwa Henryka pt. *Dzięki Ci Panie* (Lublin–Sandomierz 1998). Jestem dumny, że wręczając mi tę książeczkę, w dedykacji nazwał mnie „przyjacielem”. Robił to później wielokrotnie. Upoważnia mnie to do tego, że i ja mogę go tak określać. Wraziłem to także publicznie, uczestnicząc, jako współautor, w obszernej – wydanej w 2001 r. – Księdze Jubileuszowej w 65. rocznicę urodzin Henryka. Księgę tę otwierają gratulacje i specjalny list św. Jana Pawła II skierowany do Jubilata.

Nieustannie, do końca Jego życia, namawiałem Go do kontynuowania spisywania swoich myśli tak, jak w owej książeczce. W 2013 r. ukazała się wprawdzie Jego – także bardzo ciekawa i pełna osobistych refleksji „wieloletniego pracownika KUL” – książka pt. *Blaski i cienie. Refleksje wieloletniego pracownika KUL*, ale to ciągle za mało. A może znajdzie się jeszcze gdzieś jakiś Jego rękopis?

Dla mnie niezwykle fascynująca jest wspomniana wyżej pierwsza pozycja (*Dzięki Ci Panie*). Ta mała, zaledwie stustronicowa książeczka, nie tylko promieniuje ciepłem i dobrocią, lecz także zawiera wiele głębokich myśli zmuszających czytelnika do refleksji nad własnym życiem i jego sensem. Zapiski znajdujące się na kartach tej książeczki doskonale ilustrują osobowość Autora. Są tam spostrzeżenia odnotowywane w różnych, często bardzo prozaicznych sytuacjach. Autor w swej skromności nie chciał ich publikować. Zrobił to – być może – dopiero po namowach przyjaciół.

Wzruszające są słowa podziękowań kierowane do Stwórcy. Ich poetyka, szczerść i prostota mogą bardziej poruszać serca ludzkie, aniżeli uczone księgi teologiczne. Jako „zwariowany” żeglarz morski (jachtowy kapitan żeglugi wielkiej) nie mogę nie przyłączyć się do spostrzeżenia Autora, że „Szum fal morskich jest szepcetem Stwórcy” (s. 14).

Czyż nie jest budujące, pozornie błahe stwierdzenie: „Przychodzimy do Jezusa z naszymi małymi sprawami, ale w Jego oczach nic nie jest małe, traktuje je tak, jakby one były najważniejsze” (s. 18).

Jakże mądra i potrzebna nam jest prośba: „Daj mi zrozumieć Panie, że nie mniej mnie kochasz, gdy dajesz radości, jak i wtedy, gdy dopuszczasz cierpienie” (s. 37).

Poruszająca jest smutna, pełna pokory refleksja: „Zaszedłem do kościoła w dzień powszedni. Byłeś Sam... Smutno mi, że tak mało jesteś kochany także przez Twojego wybranego” (s. 58).

Piękne w swej prostocie są podziękowania składane Rodzicom i rodzinnej ziemi w Motyczu. Dużo miejsca w myślach Henryka zajmowali bliscy mu ludzie: kapłani, zakonnicy, zakonnice, przyjaciele. Subtelność Jego charakteru dobrze oddaje prośba nawiązująca do narracji biblijnej: „Trzciny nadłamanej nie dołamię, knotka tlejącego nie dogasi... Naucz mnie Panie delikatności” (s. 61).

Urokliwe, mądre i aktualne są podziękowania za „cuda przyrody”, ciszę i za ludzkie lęki. Pełne niepokoju, bardzo szczere są uwagi o cierpieniu. Śmierć Henryka skłania do przytoczenia Jego zapisku dotyczącego schyłku życia: „Jestem podobny do liścia na drzewie, który nabrał już kolorów jesieni, ale kiedy mnie dotknie tchnienie Twego oddechu, od Ciebie zależy” (s. 89).

Dziękując za świadomość odróżniającą ludzi od innych stworzeń, Henryk znowu alegorycznie nawiązuje do pokory: „Dwie topole kołyszące się w oknie często się pochylają, przechodzi nad nimi wichura i burze, a one się prostują i trwają... bo się pochylają” (s. 93).

Na końcu tej pięknej i mądrej książeczki Henryk nawiązuje do „dziękowania życiu”. Znowu jedna myśl charakteryzuje Jego osobowość: „Pozwól mi Panie być delikatnym w mowie, abym zachował logiczny porządek rzeczy: w sercu rozważył, umysłem zanalizowałem i dopiero to co czuję, wypowiedział ustami” (s. 99). Tak postępował i tak Go zapamiętałem.

Henryk był człowiekiem nie tylko fascynującym swoją subtelną, wrażliwą i głęboko refleksyjną osobowością, ale także pełnym optymizmu i humoru. Będąc w Stanach Zjednoczonych, odwiedził gorącą Arizonę i zanotował: „Spróbuj się cieszyć nawet, gdy siedzisz na kaktusie” (s. 101).

Kończąc, pragnę odwrócić jedno z Jego podziękowań: Przyjacielu, jak bardzo jestem Panu wdzięczny, że stałeś się radością jesieni dni moich (s. 65). Mam nadzieję, że nie zostanie uznane to za plagiat, jeżeli słowa te przypiszę sobie, kierując je do śp. Henryka.

